

SYLWETKI ENTOMOLOGÓW**ENTOMOLOGISTS****O latach współpracy z Andrzejem SZEPTYCKIM (*1939 – †2008)
Część II****Badania dalekowschodnie**

Na wstępie wypada wspomnieć jeszcze o pewnym aspekcie współpracy z Andrzejem, który łączy opisane poprzednio¹ studenckie praktyki w Stacji Biologicznej w Ojcowie – przynajmniej symbolicznie – z późniejszymi naszymi działaniami zoologicznymi na wschodnim krańcu Palearktyki. Otóż, począwszy od VI praktyki (lipiec 1968 r.), pozostając pod wpływem wciąż odraczanych w Zakładzie planów wyprawy naukowej do Afganistanu², postanowiliśmy testować na Jurze z każdym rocznikiem praktykantów modelową realizację ekspedycji zoologicznej, gdy przebywa się pieszo wiele kilometrów w trudnym terenie, rozbija się biwaki, nocuje w namiotach i wszystko nosi na własnym grzbiecie. A poza tą przyziemną logistyką trzeba prowadzić odławianie różnych bezkręgowców (czerpakowanie, przesiewanie, pułapkowanie, a nawet realizować nocne łowy – ad lucem). W wyniku tego pomysłu w programie naszych praktyk wakacyjnych w latach 1968–1971 znalazły się kilkudniowe piesze wędrowki po różnych wertepach środkowej części Jury połączone z obowiązkowymi badaniami. Czas jednak upływał, a główny cel naszych treningów – Afganistan – nadal był nieosiągalny. Lecz niespodziewanie – w 1970 r., przebywając służbowo w Warszawie – uzyskałem informację od Macieja MROCKOWSKIEGO, iż Instytut Zoologii rezygnuje z kolejnej ekspedycji do Korei Północnej³ i tym samym w pięcioletnich umowach o współpracy Wy-

¹ PAWŁOWSKI 2010: O latach współpracy z Andrzejem SZEPTYCKIM (*1939 – †2008). Część I. Wiad. entomol., 29 (2): 125-130.

² Autorem tego pomysłu był jeszcze w latach 50. Jan STACH, który otrzymał do opracowania jakieś atrakcyjne materiały z rejonu Hindukuszu i uważał, że koniecznie należy zbadać ten mało znany fragment Bliskiego Wschodu. Późniejsze wypadki wojenne w tym rejonie sprawiły, że pobyt w Afganistanie stał się niemożliwy. Po śmierci prof. STACHA plany zostały skorygowane i w 1977 r. próbowano zrealizować 6-osobową wyprawę w tym kierunku, lecz ograniczoną do Turcji, Syrii, Iraku oraz Iranu, skąd mieliśmy wracać przez Kaukaz i Ukrainę. Ostatecznie – już w trakcie ekspedycji – trzeba było zrezygnować z Iranu, w którym wtedy właśnie wybuchła rewolucja kierowana przez ajatollahów i obalono szacha Reżę Pahlavi'ego. Wobec zamknięcia granicy między Irakiem a Iranem – z Kurdistanu irackiego wracaliśmy do Polski przez Turcję i Bałkany.

³ Warszawski Instytut Zoologii PAN zrealizował cztery ekspedycje do Korei Północnej w latach 1959, 1965, 1966 i 1970. W następnych dekadach 15 ekspedycji przeprowadziła placówka krakowska, a uczestniczyło w nich łącznie 24 pracowników różnej rangi. [patrz przypis 6]

działu II PAN z Koreańską Akademią Nauk może powstać kłopotliwa luka. Maciek zachęcał do starań o kontynuację dotychczasowej tradycji ekspedycji zoologicznych w tamtym kierunku, aby nie utracić „polskiego monopolu” na pozyskiwanie materiałów z tego mało zbadanego półwyspu. Wróciwszy do Krakowa przedstawiłem sprawę szefowi, tj. prof. Kazimierzowi KOWALSKIEMU, który zastanowił się i powiedział: „skoro nie wychodzi nam Bliski Wschód – może uda się pojechać najpierw na Daleki Wschód?” i upoważnił mnie do rozpoznania formalnych aspektów sprawy i wszczęcia odpowiednich kroków. Pozytywny finał tych działań nastąpił w czasie kolejnej „ekspedycji jurajskiej” z uczestnikami IX praktyki (studenci z Poznania i Wrocławia) w dniach 13–15 lipca 1971 r., gdy znaleźli nas na szlaku w dol. Będkowskiej umyślny posłaniec z Zakładu. Ledwo wysiadł z samochodu krzyczał donośnie z daleka: „Koreańczycy zgodzili się – jedziecie do Korei!”. Cztery tygodnie później nasza trzyosobowa ekspedycja (trzecim uczestnikiem był Józef RAZOWSKI) lądowała na mało dostępnym dla świata egzotycznym lotnisku w Phjong-jangu⁴, z którego wówczas odprawiano tylko kilka samolotów w ciągu tygodnia.

Aby po kilkudziesięciu latach ocenić doniosłość wyczynu, jakim było w opisywanym okresie samo już dotarcie do Północnej Korei należy przyjąć do wiadomości kilka ówczesnych realiów. Po pierwsze: samolot Aeroflotu z Moskwy do Phjong-jangu latał tylko raz w tygodniu, a woził głównie lewackie pielgrzymki z Zachodu i „trzeciego świata” do wodza Kim-Ir-Sena, konieczna była więc rezerwacja z kilkutygodniowym wyprzedzeniem. Po drugie: trasę tę obsługiwała słynna maszyna Tu-104 (u nas znana głównie ze śpiewanej „w drugim obiegu” piosenki o Wani i Saszy). Po trzecie Tu-104 – wówczas najszybszy chyba samolot pasażerski świata – miał stosunkowo krótki zasięg, gdyż przy szybkości 1100 km/h zużywał wielkie ilości paliwa; wobec tego musiał mieć na tej trasie dwa międzylądowania. Po trzecie: statek ten – jak głosiła fama – powstał w wyniku przeróbki transportowca wojskowego, przez zamontowanie foteli i prymitywnej aparatury pompującej powietrze dla wyrównania ciśnienia. Po czwarte: potężny ciąg startowy tej maszyny powodował, iż przez pierwsze trzy minuty pasażerowie byli włączani w fotele, a zbyt wolno działająca aparatura ciśnieniowa sprawiała duży niebezpieczeństwo i silny ból w uszach; to samo – w odwrotnym kierunku – następowało przy podchodzeniu do lądowania. Biorąc pod uwagę, iż na wspomnianej trasie start i lądowanie przeżywalismy trzykrotnie, należy docenić heroizm uczestników lotu. Ale nie było wyboru, gdyż było to jedyne bezpośrednie połączenie Europy z północną Koreą.

Pierwsze międzylądowanie – w Tomsku – było krótką przerwą techniczną, wyłącznie dla pobrania paliwa. Bardziej utkwiło w naszej pamięci to drugie, w Irkucku, gdyż tam – poza techniką – doszła do głosu polityka. Trwała wówczas w tej części świata „mała zimna wojna” między Moskwą a Pekinem. Zaznaczała się ona także w komunikacji między tymi mocarstwami, a polegała na różnych złośliwościach świadczonych sobie nawzajem pod byle pretekstem. Start z Irkucka do przelotu nad Chinami uzależniony był od zgody tamtejszych służb powietrznych, oczywiście wojskowych. Na tę zgodę każdy samolot czekał z reguły kilka godzin, a czasem kilka dni. Tak było i w naszym przypadku. Po wylądowaniu w Irkucku zaproszono nas do lotniskowych sal jadalnych, gdzie nas uczciwie nakarmiono i to nie pokładową zimną „Aero-kuricą”, lecz porządnym gorącym obiadem, przy czym na deser (!) serwowano kubek autentycznej gęstej śmietany. Już w trakcie obiadu zapowiedziano przez megafon, że odlot samolotu do Phjong-jangu opóźni się o nieokreśloną liczbę godzin „z przyczyn techniczno-formalnych”, co oznaczało, że trwają radiowe negocjacje z Chińczykami w tej sprawie. Nieoficjalnie powiadomiono nas, że przed nocą na pewno nie odleciemy i zachęcano do

⁴ Nazwę stolicy Korei Północnej (jak i innych miejscowości na Półwyspie) podaję tu w brzmieniu koreańskim, w polskiej transkrypcji fonetycznej. Używana czasem w mediach nazwa „Phenian” jest rusezcizmem, którego nie powinniśmy stosować.

zwiedzenia miasta, z czego oczywiście skorzystaliśmy przy pomocy taksówki. Taksówkarz natychmiast przyznał się, że jest potomkiem polskiego zesłańca, ale po polsku nie bardzo potrafił się wypowiedzieć. Obejrzelśmy oczywiście polski kościół, znaleźliśmy też siedzibę wydziału biologicznego tutejszego uniwersytetu i miejscowe atrakcje w postaci metrowych uskoków na ulicach, powstających w lecie na granicy wiecznej zmarzliny syberyjskiej, która akurat przedziela Irkuck. O zmroku wróciliśmy do „Gostinnicy Aeroflota” i próbowaliśmy zasnąć, w czym skutecznie przeszkadzały hałasujące odrzutowce, a może też kilkugodzinna różnica czasu. Nad ranem (około godz. czwartej miejscowego czasu) obudził nas głos obsługi: „podnimajcieś – bystro ujeżdżajem!”. I rzeczywiście szybko odlecieliśmy, aby Chińczycy nie zmienili wcześniejszej decyzji, co ponoć się zdarzało. Kilkanaście minut po starcie błysnęła na horyzoncie tafla Bajkału i to była główna atrakcja pierwszej godziny lotu. Potem były inne atrakcje, już nad Chinami: słone (bo białe obrzeżone) mandzurskie jeziora na stepach, później Harbin i po dłuższym locie nad skalistymi obszarami wreszcie ujrzeliśmy Morze Żółte⁵, nad którym samolot obniżał lot i krążył tak, aby trafić na lotnisko położone w połowie Półwyspu, między wzgórzami położonymi w odległości ok. 20 kilometrów od stolicy KRLD.

Wśród 24 uczestników wszystkich 15 krakowskich ekspedycji do Korei Północnej obaj z Andrzejem należeliśmy do czołówki, zaliczając udziały w pięciu ekspedycjach⁶. Ale jednocześnie uczestniczyliśmy tylko w trzech: w pierwszej (1971) i drugiej (1974) oraz w jubileuszowej dziesiątej (1987). Międzyczasie Andrzej kierował piątą (1981) i ósmą (1985) ekspedycją, a ja szóstą (1983) i czternastą (1991); ponadto w listopadzie 1979 r. wyjeżdżałem do Korei jako ekspert w trzyosobowym składzie oficjalnej delegacji PAN dla podpisania kolejnej umowy o współpracy naukowej.

Już w czasie pierwszej naszej ekspedycji do potrójnie egzotycznego kraju (bo inna przyroda, inny klimat, inna strefa czasowa) okazało się, że ta naturalna egzotyka ustępuje znacznie czwartej, politycznej. Tylko teoretycznie można było sądzić, że w PRL-u i KRL-D mamy ten sam „socjalistyczny” ustrój. Wielokrotne pobyty w północnej części Półwyspu przekonały nas, że żyliśmy w zupełnie innych światach. Już pierwsze oficjalne rozmowy dotyczące programu pobytu mogły zaszokować nas nawet w zakresie językowym. Nasi koreańscy rozmówcy dzielili się funkcjami i rangą następująco: najważniejszym był oczywiście wysoki urzędnik Koreańskiej AN odpowiedzialny za współpracę zagraniczną. Do pomocy miał dyrektora stołecznego Instytutu Zoologii KAN (lub jego oficjalnego zastępcę) i dwóch towarzyszących nam w terenie pracowników tejsze Akademii. Zwykle jeden był zoologiem z Instytutu i ten pełnił funkcję „przewodnika”, a drugi był tłumaczem i zazwyczaj pochodził z innej instytucji. O ile w pracach terenowych było to dość normalne i praktyczne, to jednak przy rozmowach wstępnych w stolicy dochodziło czasem do absurdów.

⁵ Koreańczycy nazywają je Dżo-Son So-He, czyli dosłownie: Koreańskie Zachodnie Morze. Natomiast w międzynarodowej toponomastyce północna część Morza Żółtego nosi nazwę: Zatoka Zachodniokoreańska i zapewne ten fakt spowodował w Korei rozciągnięcia tej nazwy na całe Morze Żółte. Podobne przekształcenie zastosowano w przypadku Morza Japońskiego, nazywając je Koreańskim Wschodnim Morzem (Dżo-Son Tong-He).

⁶ PAWŁOWSKI J., TOMEK T. 1997: Zoological expeditions to the North Korea organised in the years 1971–1992 by the Cracow Institute of Systematics and Evolution of Animals of the Polish Academy of Sciences. *Fragm. faun.*, **40**: 231-246.

PAWŁOWSKI J., STWORZEWICZ E., TOMEK T. 2000: Activity of the Cracow Institute of Systematics and Evolution of Animals of the Polish Academy of Sciences in zoological investigation of North Korean provinces. *Bull. Kor. Assoc. Wildl. Conserv.*, Soeul, **2**: 114-139.

Bodajże w czasie drugiej ekspedycji (1974), zjawiliśmy się w Phjong-jangu nieco na siłę, bo po telegramie przesuującym bezterminowo nasz przyjazd pod pretekstem powodzi, (której nie było, jak się później okazało). Telegram nadszedł do Warszawy w momencie, gdy odbieraliśmy tam bilety i inne dokumenty ekspedycyjne i wobec tego został zignorowany w naszej centrali PAN, gdyż nie było pewności, kiedy będzie możliwa inna rezerwacja, a wyjazd ten powiązany był z badaniami w rejonie Bajkału w drodze powrotnej. Do Korei wysłano więc telegram, że nie można nas zatrzymać, bo już wylecieliśmy do Moskwy. W konsekwencji na lotnisku w Phjong-jangu powitał nas pięknie mówiący po polsku jeden z pracowników tamtejszej Akademii, przepraszając, że robi to w zastępstwie jakiegoś innego, nieobecnego dygnitarza wyznaczonego do tej roli, który jednak przebywał poza stolicą, jako że nas przyjazd był przecież odwołany. Przez całą drogę z lotniska do hotelu ów zastępca zabrał nas rozmową, z której wynikało, że ukończył studia doktoranckie w Krakowie na AGH i ma wobec tego bardzo mile wspomnienia z pobytu w tym mieście. Zgodnie z koreańską procedurą zapowiedział, że mamy kilka godzin na odpoczynek, a wieczorem odbędą się oficjalne rozmowy w sprawie programu i bankiet powitalny, w których to imprezach wezmą udział już właściwi przedstawiciele KAN. Jakież było nasze zdumienie, gdy – po wejściu do hotelowej sali spotkań oficjalnych – zauważyliśmy siedzącego pośrodku trzech dygnitarzy koreańskich naszego nowego znajomego z lotniska. Okazało się, że to właśnie on jest tym najważniejszym wieczornym rozmówcą. Powitał nas też zaraz po koreańsku, co towarzyszący tłumacz nieudolnie przetłumaczył na polski. Gdy – jako szef ekspedycji – odpowiedziałem po polsku, tłumacz natychmiast zaczął to przekładać na koreański. I tak to się toczyło nadal, wydłużając znakomicie negocjacje. Wszelkie próby nawiązania bezpośredniego kontaktu z koreańskim szefem spełżyły na niczym. Odnosiliśmy wrażenie, że udawał osobę, która nie zna języka polskiego z jakichś powodów politycznych. Dopiero w naszej ambasadzie uswiadomiono nas, iż na lotnisku witał nas ów dygnitarz z konieczności zastąpienia jakiegoś innego – niższej rangi – urzędnika z tłumaczem, którzy rzeczywiście przebywali gdzieś na prowincji. Był to niewątpliwie gest dobrej woli ze strony KAN, ale i zapewne jakiś wyraz sympatii dla Polaków (lub Polski?) byłego doktoranta z Krakowa. Natomiast wieczorem występował już w swojej własnej roli szefa rozmówców koreańskich i z tej racji musiał porozumiewać się z nami obowiązkowo przez kiegoś tłumacza, któremu zresztą podpowiadał po cichu niektóre polskie słowa. Ten rytuał miał oczywiście w podtekście podłoże polityczne, gdyż nasze rozmowy musieli rozumieć także inni Koreańczycy, a zwłaszcza ten z nich, który pilnował pozostałych i potem sporządzał raport przeznaczony dla władz odpowiednich resortów.

Hotele, w których lokowano nas w stolicy i na prowincji miały różny standard. W Phjong-jangu najprzyjemniej mieszkało się w starym hotelu blisko rzeki Te-Dong-gang, o bardzo grubych, solidnych murach (podobno wybudowany był jeszcze przez okupantów japońskich w latach 20. lub 30. XX wieku) i zapewne dlatego przetrwał bez większych uszkodzeń okres wojny koreańskiej. Była to nasza stała, wygodna baza stołeczna w czasie dwóch pierwszych ekspedycji; zamieszkiwałem tam również z prof. OSTROWSKIM w 1979 r. W późniejszych latach rezerwowano dla nas miejsca w wysokościowych hotelach w innej części miasta. W miejscowościach poza stolicą było różnie, lecz gdy mogliśmy wybierać pomieszczenia, to głównym kryterium było istnienie balkonu, gdzie Andrzej mógł ustawiać swoje „tullgreny”, z których i ja w rezultacie korzystałem, gdyż wypłaszane były także drobne chrząszcze. Te nasze wymagania nie były zresztą trudne do realizacji, gdyż często byliśmy dość osamotnieni w hotelu. Np. w 1974 r. w dwupiętrowym hotelu w Górach Diamentowych (Kymgang-san) oprócz naszej trójki mieszkał tylko japoński biznesmen z żoną i córką. Spotykaliśmy się tylko na posiłkach w wielkiej sali jadalnej na parterze, mieszczącej kilkadziesiąt stolików. Japończycy zajmowali stolik w jednym rogu, a my po przekątnej w drugim. I nie byłoby między nami żadnych kontaktów (na czym zapewne gospodarzom zależało), gdyby nie kurtuazja ja-

pońska. Jeśli oni przychodzili wcześniej, gdy tylko zobaczyli nas w drzwiach, natychmiast zrywali się z miejsc i bili pokłony, zanim jeszcze zdążyliśmy powiedzieć chórem nasze „morning!”; oczywiście w tej sytuacji zginaliśmy się również w pokłonie, na co oni odpowiadali jeszcze niższym i sytuacja była patowa, bo nie wiadomo było kiedy skończyć i dojść do naszego stolika. Zwykle Andrzej załamywał się pierwszy i rzucał przez zęby: „siadamy już – kuwanson⁷ – bo jestem głodny!”. Jeszcze gorzej było, gdy to my zjawialiśmy się na obiad jako pierwsi. Pojawienie się rodziny japońskiej zmuszało nas do szybkiego powstania i bicia pokłonów, na co oni wielokrotnie odpowiadali, przemieszczając się powoli (i tyłem!) w stronę swojego stolika i nigdy nie usiedli pierwsi, czekając, aż my to wcześniej zrobimy.

Zawsze pechowo trafialiśmy na jakieś koreańskie święta państwowe; były to albo urodziny wodza, albo inne rocznice związane z jego bogatą (rzekomo) działalnością partyzancką. Gospodarze grzecznie naciskali na nasz udział, który polegał na kilkugodzinnym wystawianiu na trybunie w otoczeniu lewaków z całego świata. Ja jako szef ekspedycji robiłem unik, zasłaniając się brakiem upoważnienia ze strony ambasadora, co było zresztą faktem wynikającym z polityki dyplomacji PRL-u, dla zademonstrowania neutralności, jako że grupa naszych oficerów wchodziła w skład wojskowej komisji rozjemczej w Pan-Mun-dżon (obok „Czechosłowaków” – jak się wówczas mówiło – oraz Szwedów i Szwajcarów). W tej sytuacji miałem wygodne alibi, a na uroczystości delegowałem Andrzeja i ewentualnie młodszych uczestników ekspedycji w charakterze widzów prywatnych. SZEPTYCKI dość chętnie poświęcał się dla sprawy i nawet to wytrzymywał, traktując polityczno-wojskową fetę jako egzotyczną rozrywkę.

Z licznych wspólnych przygód koreańskich warto opisać próbę ugotowania nas w ciepłach uzdrowiska On-Pho-ri. Te bardzo gorące źródła naturalne zostały wykorzystane niedługo przez japońskich okupantów; kadra oficerska z rodzinami spędzała tu urlopy. Zaproponowano nam gorącą kąpiel w pawilonie postawionym w pobliżu źródeł o różnej temperaturze. Obsługa gdzieś za ścianą mieszała te strumienie podwyższając stopniowo temperaturę wody od ok. 40° do ponad 60°C. Siedzieliśmy w jakichś zagłębieniach skalnych pełniących rolę wanien i czekaliśmy z niepokojem na swój los. Gdy już było zbyt gorąco wyskakiwaliśmy z tej łaźni. Podobno niektórzy kuracjusze wytrzymywali tam blisko 70°C.

Lepiej wspominaliśmy przygody kulinarne. Gdy tylko była okazja zamawialiśmy z karty najbardziej egzotycznie nazywane dania, przeważnie pochodzenia morskiego. W najlepszych hotelach dobrze przyrządzano małże, a podawano je w oryginalnych muszlach dużego gatunku z rodzaju *Pecten*. Po zjedzeniu zawartości muszle zabieraliśmy z sobą jako należną nam zdobycz do kolekcji muzealnych. Jednak po kilku takich wyczynach kolekcjonerskich szef kuchni obniżył standard tego dania i podawano nam je na fajansowych talerzykach, co najwyżej naśladowujących muszle małży. Na te nasze praktyki nie mogła patrzeć jedna z naszych koleżanek, która z uporem zamawiała potrawy europejskie, na ogół fatalnie przyrządzane. Była ona bardzo negatywnie nastawiona do kuchni orientalnej do tego stopnia, że – gdy na stole pojawiały się przynieszone dla mnie i Andrzeja trepangi, mięczaki lub skorupiaci – często przenosiła się do innego stolika, aby nie patrzeć na to morskie robactwo. Ona też najgorzej znosiła bankiety (powitalne i pożegnalne). Tu trzeba dodać, iż w czasie pobytu w hotelach nasi „opiekunowie” koreańscy byli karmieni oddzielnie i zapewne bardzo skromnie, a jedynie na oficjalnych bankietach mogli jeść to samo, co my. Taki bankiet koreański w latach 70. i do połowy następnej dekady – gdy jeszcze nie było powszechnego głodu – był jednak atrakcyjną gratką dla tubylców, to też starali się jak najczęściej o takie okazje, a więc

⁷ Ku-Wan-Son – to było nazwisko (wraz z imieniem) tłumacza pierwszej ekspedycji, który potem przepadł gdzieś bez wieści i w związku z tym, począwszy od drugiej ekspedycji, używaliśmy przeróbki tego słowa jako „przerywnika” przydatnego w sytuacjach kryzysowych.

o częste zmiany miejsca badań, co nam z kolei nie odpowiadało. Ale gdy już bankiet był – trzeba było dostosować się do sytuacji. Najważniejszą informacją była liczba potraw przewidzianych w programie uczyty. Wytrawny „bankieter” wiedział, iż nie należy zjadać do końca owych małych porcji, lecz pozostawiać odrobinę na talerzu; był to sygnał, iż tego już jeść nie będzie. Dokładne zjedzenie „do czysta” oznaczało, iż konsument liczy na repetę. Nawet Andrzej, który był w stanie pochłonąć spore ilości potraw dostosował się z czasem do systemu cierpliwego oczekiwania na ostatnie dania, które zazwyczaj były najlepsze, więc warto było mieć rezerwę. Ale jako debiutanci często musieliśmy stosować pigułki ziołowe zabierane z Polski; była to pierwotna wersja obecnego sylimarolu.

Codziennie wyżywienie nie wymagało jednak stosowania pigułek na trawienie. Podstawą był ryż na gęsto, aby nadawał się do jedzenia pałeczkami. Do tego dochodziła zwykle ryba lub „psina” (tak nazywaliśmy kawałki mięsa – chyba jednak wieprzowego), a jako jarzyna „kim-czi”, czyli marynowana na ostro kapusta pekińska. Ale była też zupka, najczęściej rybna z makaronem sojowym, którą podawano na początku. Końcowym etapem było „mek-czu”, czyli lekkie piwo podawane w charakterystycznych kieliszkach (wielkości naszych do wina) z wyrzeźbionym kłosem jęczmienia. Bywał też deser – maleńkie ciasteczka ryżowe słodzone miodem.

Herbatę lub kawę pijaliśmy już raczej w pokojach u siebie, gdyż zamówienie jej w restauracji hotelowej zawsze powodowało jakieś niespodzianki. W portowym mieście Czhong-dżin nad Morzem Japońskim karmiono nas przez kilka dni łososiem w różnych odmianach (łososiowa zupa, łosoś smażony, łosoś wędzony); po pewnym czasie mieliśmy już dość tej wykwintnej ryby, ale to było jedyne białko zwierzęce w owym hotelu. Po takim łososiowym obiedzie, gdy kelnerka pytała czy coś jeszcze potrzebujemy – postanowiliśmy wypróbować możliwości miejscowej kuchni i zamówiliśmy herbatę. Kelnerka wróciła po chwili z dodatkowym pytaniem, „caj ili kopi”? Sądząc, iż kuchnia może mieć trudności z dobrą herbatą, a łatwiej im o kawę postanowiliśmy grzecznie dać im możliwość decyzji w tej sprawie. Wówczas zjawiała się szefowa kuchni i wyraźnie zdenerwowana spytała „kopi ?, caj?”. Potwierdziliśmy głośno, że może być „kopi”, albo „caj”. W rezultacie dostaliśmy dziwny brunatny płyn, który okazał się mieszaniną kawy i herbaty. Później zrezygnowaliśmy z takich eksperymentów z kelnerkami, natomiast już w Krakowie w następnych latach wspominaliśmy czasem w żartach ów „kopi-caj” jako specjalność koreańską, gdy nas tylko pytano o najbardziej osobliwy napój na Półwyspie. Tu trzeba wyjaśnić, iż zarówno kawa, jak i herbata nie były nigdy pijane przez tubylców. Jest to osobliwy fenomen koreański, gdyż państwo otoczone trzema „herbaciowymi” krajami (Japonia, Chiny i Rosja) nie uprawia tego krzewu, a herbata jest importowana w śladowych ilościach tylko na użytek cudzoziemców. W KRL-D mieli wówczas tylko chińską herbatę jaśminową (dość smaczną), którą częstowano nas w czasie wizyt oficjalnych na uczelniach i zwiedzanych instytucjach. Natomiast na kierowane do gospodarzy pytanie: „co piją Koreańczycy?” odpowiedź brzmiała zaskakująco: „wodę spod ryżu”. Jak się okazało była to istotnie woda pozostała po gotowaniu ryżu, ale po przestudzeniu fermentowana przez kilka dni, co w rezultacie przypominało nieco w smaku rosyjski kwas chlebowy.

Aby wyczerpać tematy kulinarne trzeba wspomnieć jeszcze o tym, że pracując cały dzień w terenie pożywialiśmy się najczęściej roladami złożonymi z warstwy ryżu i warstwy glonów („kapusta morska”), które nasi opiekunowie zabierali z hotelu w oryginalnych pakietach zawierających także pałeczki. Potrawę te popijaliśmy oczywiście piwem butelkowym; kieliszków nie było. Posiłki terenowe były jedyną okazją do rozmów z naszymi opiekunami, którzy jedli to samo. Zdarzyło się jednak raz nad Morzem Japońskim, iż zamiast rolady ryżowej dostaliśmy dorodne kraby. Zjadaliśmy je z apetytem, delektując się mięsem z ich kleszczy. Właśnie przy tej uczcie dowiedzieliśmy się od Koreańczyków co w krabie jest najbardziej



Na lewej fotografii uczestnicy II ekspedycji z wizytą w Instytucie Zoologii KAN. W pierwszym rzędzie stoją od lewej: J. PAWŁOWSKI, Z. STEBNICKA, CZOI-DE-WON (dyrektor IZ KAN), A. SZEPTYCKI; z tyłu za dyrektorem tłumacz KIM-HJONG-SOK. (Phjong-jang, połowa maja 1974 r.)

Na prawej fotografii A. SZEPTYCKI z tłumaczem i przewodnikiem w Górach Kym-Gang-san (połowa czerwca 1974 r.)

smaczne – była to, ich zdaniem, zawartość żołądka z przetrawioną masą glonów, którymi skorupiak zdążył pożywić się przed odłowem. Chętnie oddaliśmy owe delikacje naszym opiekunom i była to chyba jedyna potrawa w Korei, której nie kosztowaliśmy.

Ekologiczne „leśmianizmo-lemizmy” koreańskie to osobny temat. Jeszcze w Stacji w Ojcowie fascynowało nas słownictwo nie tylko LEŚMIANA, ale i LEMA, którego kolejno ukazujące się wówczas pierwsze edycje wertowaliśmy natychmiast, wychwytyjąc co celniejsze terminy, które mogły się przydać w pracy terenowej, także z praktykantami. Najwięcej dostarczały ich opowieści o kolejnych ekspedycjach profesora Tarantogi i przygodach pilota Pirxa. Bardzo przydatnym terminem był „ściorg”. Pasował szczególnie do głębokich, wilgotnych mikrobiotopów (np. w wąwozie Jamki). Przesiewanie sitem ściółki w takim miejscu określaliśmy powiedzeniem: „pracuję w ściorgu”. Natomiast pracę czerpakiem na zboczu kserotermicznym nazywało się „praca na grzeju” (to z LEŚMIANA). Gdy student na praktyce podpadł czymś kierownictwu, świadkowie incydentu mówili mu ze współczuciem: „będziesz się pęził!” (z LEMA). W Korei też operowaliśmy tym słownictwem, ku zdenerwowaniu tłumacza, który nie wiedział jak to przełożyć na koreański swoim pryncypałem. A w Korei często zdarzały się nam stany fizjologiczne, które można było określić mianem „migotania świadomości”, co przeżywał według LEMA pilot Pirx w czasie lotów patrolowych. Otóż nam się zdarzały podobne sytuacje w okresach intensywnych prac terenowych i kameralnych, np. gdy w nocy odławialiśmy owady na światło UV, a w dzień preparowało się ten materiał. Po kilkunastu godzinach takich wysiłków oczy odmawiały posłuszeństwa: zaczynało się odczuwać migotanie błysków światła przypominające falującą zorzę polarną; zamknięcie powiek nic nie pomagało. Ratunek był tylko jeden: trzeba było zażyć pastylkę witaminy B-complex, położyć się i czekać. Migotanie ustępowało po kilkunastu minutach. Nauczył nas tego Józek RAZOWSKI, który doświadczył już podobnych sytuacji „w tamtym kraju” – jak mówiliśmy o Japonii.

Ważną dziedziną mojej współpracy z Andrzejem w czasie wypraw koreańskich było zdobywanie informacji o nazwach miejscowości, rzek i gór, których nie chciano nam ujawniać, a map nam nie udostępniano. Nazwy znajdowały się jednak na drogowskazach, tabliczkach przy mostach i w innych miejscach. Ale w tym celu trzeba było znać pismo koreańskie. Zawarliśmy układ: w zamian za uczestnictwo Andrzeja w uroczystościach państwowych zobowiązałem się poznać koreański alfabet i zasady tworzenia sylab i wyrazów, gdyż Andrzeja to nie bawiło. Nie było to wielkie poświęcenie z mojej strony, gdyż miałem zawsze skłonność do rozwiązywania zagadek, jolek i rebusów. Pierwszych lekcji – jeszcze w Polsce – udzielił mi Maciek MROCKOWSKI, który też uprzedził, że to jest najczęściej jedyna metoda zdobycia zatajonych przed cudzoziemcami informacji terenowych. Wiedziałem też, że raczej nie należy się przyznawać do znajomości pisma koreańskiego, a w każdym razie nie chwalić się tym w obecności przedstawicieli miejscowej władzy. Mimo przestrzegania tej zasady raz wpadłem, gdy odpisywałem nazwę rzeki na jednym z mostów. Nasz „opiekun” wówczas usiłował zameldować o tym centrali w stolicy i całą noc wisiał na telefonie, a gdy wreszcie uzyskał połączenie, dochodziły z hotelowej kabiny telefonicznej jego okrzyki, w których często powtarzanymi wyrazami były: „por-sy-ka” (tj. Polska, Polak) i „ju-re-ku” (co oznaczało moje imię, używane jako skrót pełnego nazwiska).

Ekspedycje koreańskie z dodatkiem syberyjskiej przerwy nad Bajkałem miały duży wpływ na specjalizację naukową SZEPTYCKIEGO. Zdopingowany bogactwem i egzotyką zebranego materiału *Apterygota* z tej części Dalekiego Wschodu dość szybko doszedł do wniosku, że wszystkiego nie opracuje i z czegoś trzeba zrezygnować. Porzucił więc ostatecznie *Collembola* dla bardzo słabo wówczas rozpoznanych *Protura*, na czym skorzystał zarówno Andrzej, jak i pierwogonki, a tym samym nauka światowa. Po dwóch pierwszych ekspedycjach nawiązał kontakt z wybitnym japońskim specjalistą od pierwogonek Gentaro IMADATE z Tokio i wspólnie opracowali najwcześniej zebrany materiał⁸. Po kilkunastu latach wydali następną publikację z tego cyklu, obejmującą materiały zebrane w czasie kolejnych ekspedycji⁹. Łącznie opracowali kilkanaście gatunków z Korei, w tym kilka taksonów nowych dla wiedzy, m.in. rodzaj *Chosonentulus*¹⁰. Sądzę, iż ta właśnie współpraca stała się momentem przełomowym w karierze naukowej Andrzeja, gdyż doktora IMADATE uważał on za jednego ze swoich mistrzów (obok prof. Bruno CONDÉ z Francji, dra Josefa NOSKA z Czech i dra Sřrena Ludviga TUXENA z Danii), czemu dał wyraz we wstępie do swego ostatniego, największego objętościowo dzieła życia – światowego katalogu pierwogonek¹¹.

Jerzy PAWŁOWSKI, Muz. Przyr. ISiEZ PAN, Kraków

⁸ IMADATE G., SZEPTYCKI A. 1976: The Proturans of North Korea. Bulletin of the National Science Museum, Tokyo, ser. A, 2: 267-276.

⁹ SZEPTYCKI A., IMADATE G. 1987: The Proturans of North Korea (II). Bulletin of the National Science Museum, Tokyo, ser. A, 13: 165-183.

¹⁰ „Choson” (fonetycznie: Czoson albo Dżoson) jest rodzimą nazwą Korei.

¹¹ SZEPTYCKI A. 2007: Catalogue of the world *Protura*. Acta zoologica cracoviensia, ser. B – Invertebrata, vol. 50B (1): 1-210.